

Rosa MONTERO

TA ŻAŁOSNA MYŚL,  
ŻE NIGDY WIĘCEJ  
CIĘ NIE ZOBACZĘ

z języka hiszpańskiego przełożył  
Wojciech Charchalis



WYSZUKANE

tytuł oryginału LA RIDÍCULA IDEA DE NO VOLVER A VERTE

copyright © by Rosa Montero 2013

copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Ezop sp. z o.o. 2023

copyright © for the Polish translation by Wojciech Charchalis 2023

© for photo: archiwum Rosy Montero: 45 lewa, 72, 81, 117, 141, 197, 221; Forges: 171; Getty Images: 109; Getty/Frederick M. Brown: 46; Getty/Hulton Archive: 43 prawa; Getty/Kevin Cummins: 45 prawa; Getty/Natasja Weitsz: 10; Getty/Science Sources: 12; Keith Saunders/Arenapal: 193; Paula Rego: 81, 82; Prawa zastrzeżone: 21, 34, 36, 41, 43 lewa, 47, 52, 59, 61–63, 78, 96, 98, 100, 106, 129, 133, 135, 149, 161, 163, 175, 199, 204

projekt okładki i stron tytułowych / Ula Pagowska

redakcja / Dorota Koman

korekta / Elżbieta Cichy

skład i łamanie / Mariola Cichy

Wydawca:

Wydawnictwo Wyszukane

Imprint Wydawnictwa Ezop sp. z o.o.

01-829 Warszawa, al. Zjednoczenia 1/226

tel. 22 834 17 56, e-mail: redakcja@ezop.com.pl

www.ezop.com.pl

druk i oprawa / EDICA sp. z o.o.

ISBN 978-83-65230-96-6

Warszawa 2023

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego [www.ezop.com.pl](http://www.ezop.com.pl)



Przekład wsparty finansowo przez Ministerstwo Kultury i Sportu Hiszpanii

*Dla wszystkich moich kochanych, z miłością.  
Wiecie, kim jesteście, choć was nie wymienię.*



## Sztuka udawania bólu

Ponieważ nie mam dzieci, najważniejsze, co mi się w życiu przydarzyło, to moi zmarli, chodzi mi o moje ukochane osoby. Wydaje ci się to mroczne, może trochę chore? Ja tego tak nie widzę, wręcz przeciwnie: wydaje mi się to logiczne, naturalne, bardzo właściwe. Jedynie przy okazji urodzin i śmierci człowiek wychodzi poza czas; Ziemia przestaje się kręcić, a wszelkie trywialności, na które marnotrawimy godziny, opadają na ziemię jak brokatowy pył. Kiedy rodzi się dziecko albo ktoś umiera, teraźniejszość dzieli się na pół i pozwala ci przez moment dojrzeć szczelinę tego, co prawdziwe: monumentalną, rozżarzoną i beznamiętą. Człowiek nigdy nie czuje się tak autentyczny, jak wtedy, gdy krąży wokół tych biologicznych granic: masz pełnię świadomości, że przeżywasz coś bardzo wielkiego. Przed wielu laty dziennikarz Iñaki Gabilondo powiedział mi podczas jakiegoś wywiadu, że śmierć jego pierwszej żony, która odeszła młodo na raka, była dla niego bardzo ciężkim doświadczeniem, ale też najbardziej transcendentalnym, jakie mu się przydarzyło. Jego słowa zrobiły na mnie wrażenie: w sumie to ciągle je

jeszcze pamiętam, choć mam bardzo słabą pamięć komara. Wtedy wydało mi się, że dobrze rozumiem, co chce powiedzieć; ale potem, gdy tego doświadczyłam, zrozumiałam to znacznie lepiej. Nie wszystko w śmierci jest okropne, choć wydaje się to nieprawdą (zdumiewa mnie, że sama to mówię).

To jednak nie jest książka o śmierci.

W sumie to nie wiem za dobrze, czym jest albo czym się stanie. Mam ją teraz tutaj, na czubkach palców, ledwie kilka linijek na tablecie, pęcherzyk jeszcze niedookreślonych komórek elektronicznych, który łatwo można usunąć. Książki rodzą się z maciupkiego zarodka, mikroskopijnego jajeczka, zdania, obrazka, przecucia; i wzrastają jak zygoty, organicznie, komórka po komórce, dzieląc się na tkanki i struktury coraz bardziej skomplikowane, aż zmieniają się w kompletną i często niespodziewaną postać. Wyznaję ci, że mam jakiś pomysł na to, co chce zrobić z tym tekstem; ale czy ten projekt utrzyma się do końca, czy pojawi się coś innego? Czuję się jak ten pasterz ze starego kawału, który od niechcienia obrabiał kawałek drewna nożem i kiedy jakiś przechodzień go pytał, jaką postać rzeźbi, on odpowiadał: „Jak wyjdzie z brodą, to świętego Antoniego; a jak nie, to Niepokalane Poczęcie”.

W każdym razie jakiś święty wizerunek.

Świętą z tej książki jest Maria Curie. Zawsze wydawała mi się kobietą fascynującą, co zresztą zdarza się ludziom prawie na całym świecie, bo jest to postać nietuzinkowa i romantyczna, która wydaje się większa

niż życie. Wspaniała Polka, która była w stanie dostać dwie Nagrody Nobla, pierwszą z fizyki w 1903 roku wraz z małżonkiem, Pierre'em Curie, i drugą z chemii w 1911 roku, samodzielnie. W sumie w całej historii Nagrody Nobla były jeszcze tylko trzy osoby, które dostały dwie nagrody: Linus Pauling, Frederick Sanger i John Barden, ale tylko Pauling w dwóch różnych kategoriach, jak Maria. Jednak Linus dostał nagrodę z chemii i nagrodę pokojową, a trzeba przyznać, że ta druga warta jest znacznie mniej (jak wiadomo, dali ją nawet Kissingerowi). A zatem Madame Curie jest niepokonana.

Poza tym Maria odkryła i zmierzyła radioaktywność, tę przerażającą właściwość Natury, płomienne nadludzkie promienie, które leczą i zabijają, które zwęglają guzy rakowe podczas radioterapii albo spalają ciała po wybuchu atomowym. Do niej należy też odkrycie polonu i radu, dwóch pierwiastków bardziej aktywnych niż uran. Polon, pierwszy, który odkryła (dlatego nadała mu nazwę swojego kraju), szybko został przysłonięty znaczeniem radu, chociaż ostatecznie stał się modny jako skuteczny sposób na dokonanie morderstwa: przypomnijmy sobie straszliwą śmierć rosyjskiego szpiega Aleksandra Litwinienki w 2006 roku po przyjęciu polonu-210 albo dyskusyjny przypadek Arafata (następny zdumiewający laureat Pokojowej Nagrody Nobla). A zatem nawet do tych złowieszczych zastosowań dotarła biała ręka Marii Curie. Jednak czy nam się to podoba, czy nie, ta niszcząca siła spoczywa u samej podstawy

XX wieku i prawdopodobnie też XXI. Żyjemy w czasach radioaktywnych.



*Litwinienko na łożu śmierci.*

Zawodowa wielkość Madame Curie była czymś absolutnie rzadkim w tamtych czasach, w których kobietom nie pozwalało się robić niemal nic. W gruncie rzeczy dzisiaj naukowczyń też jest względnie niewiele i rzecz jasna ciągle skąpi im się nagród. Od początku istnienia Nagrody Nobla aż do roku 2011 nagrodzono 786 mężczyzn i jedynie 44 kobiety (niewiele ponad sześć procent), a ponadto większość z nich to nagrody pokojowe i literackie. Są tylko cztery laureatki z chemii i dwie z fizyki (wliczając w to dublet Marii Curie, który znakomicie podwyższa średnią). Żeby nie mówić o przypadkach, kiedy zwyczajnie ukradziono im Nobla, jak to miało miejsce w przypadku Lise Meitner (1878–1968), która wydatnie przyczyniła się do odkrycia rozszczepienia



jądrowego, a nagrodę dostał Otto Hahn i nawet o niej nie wspomniał przy tej okazji, bo w dodatku Lise była Żydówką, czasy zaś były nazistowskie. Lise miała szczęście, że żyła wystarczająco długo, by doczekać czasów, kiedy zaczęto o niej mówić, i na starość kilkukrotnie oddano jej cześć; nie wiem, czy to mogło zrekompensować gorycz całego życia.

Znacznie gorzej potoczyła się historia Rosalind Franklin (1920–1958), znakomitej badaczki brytyjskiej, która odkryła fundamenty struktury molekularnej DNA. Wilkins, kolega z pracy, z którym pozostawała w konflikcie (był to ciągle bardzo maczystowski świat), wziął notatki Rosalind i bardzo ważne zdjęcie DNA, które udało się jej zrobić za pomocą skomplikowanego procesu zwanego dyfrakcją promieni X, i bez jej wiedzy czy autoryzacji pokazał wszystko dwóm kolegom, Watsonowi i Crickowi, pracującym na tym samym polu, i nielegalnie przywłaszczając te odkrycia, oparli się na nich, żeby rozwinąć własne badania. Nie wiadomo, czy Rosalind dowiedziała się o kradzieży intelektualnej, której padła ofiarą; zmarła bardzo młodo, w wieku trzydziestu siedmiu lat, na raka jajnika, prawdopodobnie wywołanego ekspozycją na promienie X, które umożliwiły jej wejrzenie w trzewia DNA. W 1962 roku, cztery lata po śmierci Franklin, Watson, Crick i Wilkins dostali Nobla z medycyny za odkrycie struktury DNA. Ponieważ nagrody nie można dostać pośmiertnie, Rosalind nigdy jej nie dostała, chociaż w oczywisty sposób na nią zasłużyła. Jednak najbardziej haniebne jest to,

że ani Watson, ani Crick nie wspomnieli o Franklin i nie uznali jej wkładu w to odkrycie. Cóż, historia to nikczemna i smutna. Przynajmniej jednak o niej wiadomo. Zadaję sobie pytanie, ile innych przypadków szpiegowania, przywłaszczenia i pasożytowania mogło mieć miejsce w historii nauki i nigdy nie ujrzały światła dziennego.



*To jest Rosalind Franklin; ładna, nie?*

Niesamowite: kiedy pisałam te słowa, koleżanka z Facebooka, Sandra Castellanos, przysłała mi wiadomość; nie znamy się osobiście, wiem tylko, że mieszka w Kanadzie i że jest dobrą początkującą pisarką, bo ją czytałam. Od miesięcy nie rozmawiamy i nagle, wyłaniając się ze skwierczącej przestrzeni cybernetycznej, spada na mnie ta wiadomość:

Cześć, Rosa, zobaczyłam to i pomyślałam sobie,  
że ci się spodoba:

*For the love of Physics* [Z miłości do fizyki],  
Walter Lewin:

„Wyzwania granic naszego oprzyrządowania czynią jeszcze bardziej zdumiewającymi osiągnięcia Henrietty Swan Leavitt, znakomitej, ale szerzej nieznannej astronomki. W 1908 roku Leavitt pracowała na drugorzędym stanowisku w Obserwatorium Harvarda, gdzie rozpoczęła prace, które pozwoliły na dokonanie wielkiego skoku w pomiarach odległości gwiazd.

Tego rodzaju rzeczy zdarzały się tak często w historii nauki, że fakt umniejszenia talentu, inteligencji i wkładu naukowczyń powinien być uznany za błąd systemowy”.

I u dołu strony:

„Zdarzyło się coś takiego Lise Meitner, która pomogła w odkryciu rozszczepienia atomu; Rosalind Franklin, która brała udział w odkryciu struktury DNA; i Jocelyn Bell, która odkryła pulsary i powinna dzielić Nagrodę Nobla przyznaną w 1974 roku jej opiekunowi Anthony’emu Hewishowi”.

Ła! Nic nie wiedziałam o Leavitt ani o Jocelyn Bell, ale w osłupienie wprawilo mnie niesamowite

zestrojenie czasu i tematu. Coś najbardziej niepokojącego: te #ZbiegiOkoliczności, które wydają się magiczne, często zdarzają się na polu literatury. O tym jednak porozmawiamy później.

Pisałam inną powieść. Od ponad dwóch lat robiłam notatki. Czytałam książki bliskie tamtemu tematowi. Dawałam zygocie wzrastać w mojej głowie. Wreszcie ją rozpoczęłam, to znaczy przeszłam do czynów, usiadłam przed komputerem i zaczęłam pisać. Było to w listopadzie 2011 roku. Cała akcja dzieje się w dżungli, tej duszącej, gnijącej, doprowadzającej do szału macicy roślinnej. Napisałam trzy pierwsze rozdziały. I podobają mi się. Poza tym dokładnie wiem, co się wydarzy potem. I też mi się to podoba, to znaczy, wydaje mi się, że pisanie tego może być dla mnie emocjonujące. A jednak pod koniec grudnia zostawiłam tę historię, może na zawsze (mam nadzieję, że nie). Przez całe życie tylko jedną powieść porzuciłam w środku: zdarzyło się to w 1984 roku i przy tamtej okazji miałam już jakieś sto stron. Wywaliłam je do śmieci, poza pięcioma czy sześcioma pierwszymi, opublikowanymi później jako opowiadanie pod tytułem *Życie jest proste* w tomie *Kochankowie i wrogowie*. Tamta powieść nigdy nie wróci. Przestałam czuć postaci, przestały mnie obchodzić ich perypetie, zmęczyłam się tematem. Żeby móc pisać powieść, żeby znieść nudne i bardzo długie posiedzenia, których wymaga ta praca, miesiąc za miesiącem, rok po roku, historia musi skrywać

pęcherzyki światła wewnątrz twojej głowy. Sceny, będące wysepkami rozpalonych do białości emocji. I to przez pragnienie dotarcia do którejs z tych scen, w sumie nie wiedzieć czemu przyprawiających cię o szczękanie zębami, jesteś w stanie przecierpieć być może miesiące największej i niezwykle ciężkiej do zniesienia nudy nad klawiaturą. Tak więc pejzaż, który jawi się przed tobą, gdy zaczynasz pisać fikcję literacką, to wielki naszyjnik mroku rozświetlony od czasu do czasu dużą tęczową perłą. I ty przechodzisz z wysiłkiem po sznurze cieni od paciorka do paciorka, nęcona płomieniem jak ćma, aż docierasz do ostatniej sceny, która dla mnie jest ostatnią z tych wysepek światła, płomienną eksplozją. Oczywiście każda powieść ma niewiele takich pereł: jeśli dopisze szczęście, duże szczęście, może z dziesięć. Ale czasem mogą wystarczyć nawet cztery czy pięć, jeśli są dla ciebie wystarczająco silne, jeśli są upajające, jeśli czujesz, że są tak wielkie, że nie mieszczą ci się w piersi i mówisz sobie: ja to muszę opowiedzieć. Bo jeśli tego nie zrobisz, wydaje ci się, że ta scena wybuchnie w twoim wnętrzu i w końcu będziesz wypuszczać nosem kłęby pary.

A z tą powieścią z 1984 roku wydarzyło się tak, że fajerwerki zgasły. Skończył się wewnętrzny przymus opowiadania, drżenie i zauroczenie. To była prawdziwa aborcja, a do tego tak późna, powiedzmy metaforycznie, jakiś piąty miesiąc, że moje zdrowie literackie zostało nadwerężone: złapała mnie Posucha, jak mawiał Donoso, i spędziłam niemal cztery lata,

nie mogąc pisać. Cholerne piekło, bo utraciwszy pisanie, utraciłam sens życia. Czułam atonię, oddalenie od rzeczywistości, szarość, która przygaszała wszystko, jakbym nie była w stanie się emocjonować tym, czym żyłam, jeśli tego nie przetworzyłam w głowie na słowa. Jeśli się dobrze przyjrzeć, możliwe, że Fernando Pessoa odnosił się do tego w znanym wierszu: „Poeta zawsze udaje. I tak się zapamiętuje, że uda nawet cierpienie, które sam naprawdę czuje”. Może pisarz jest typem mniej więcej ułomnym, który nie jest w stanie czuć własnego bólu, jeśli go nie udaje albo nie buduje na nim słownych konstrukcji. Tymi słowami, które ustawią, które ulepszą, które ucieszą, które uspokoją, które sprawiają, że uzyskasz świadomość własnego życia. Dobrze, wszystkie terminy wyszły mi na U. Niesamowite. Ślepe pobrzękiwanie mózgu.

Nie sądzę, żeby moje opowiadanie o dżungli było tak martwe jak to z 1984 roku, które w końcu mnie zablokowało. Chcę myśleć, że to zwykły brak synchronizacji pomiędzy tematem i mną; że nie to chciałam w tej chwili opowiedzieć; albo że raczej potrzebowałam opowiedzieć coś innego. Ta powieść pojawiła mi się w głowie podczas miesiący choroby mojego męża. To fabuła najmroczniejsza, najbardziej desperacka i najbardziej bolesna, jaką kiedykolwiek wymyśliłam. A teraz siebie tam nie widzę. Nie chcę się tam pchać. Nie pragnę spędzić najbliższego roku pochwycona przez tę miażdżącą dżunglę.

Zastanawiałam się nad tym, kiedy przyszedł e-mail od Eleny Ramírez, wydawczyni z Seix Barral.

Proponowała mi, żebym napisała prolog do *Unikatowych*, serii małych, krótkich książeczek. Chciała, żebym napisała o dzienniku Marii Curie, niewiele ponad dwadzieścia stron powstałych w ciągu dwunastu miesięcy po śmierci jej męża, który zmarł w wieku czterdziestu siedmiu lat, potrącony przez wóz konny. I Elena Ramírez, kobieta mądra, czarownica, wieszczka, napisała tak: „Pomyślałam o tobie, bo ona z nagą brutalnością przedstawia żałobę po stracie męża. Myślę, że jeśli ten tekst ci się spodoba, możesz zrobić coś wspaniałego na jego temat albo wychodząc poza niego (o ile tak można powiedzieć) ogólnie o żałobie. Myślę poza tym, że w miarę jak będziesz wchodzić w książkę i w zależności od tego, jak się będziesz czuła przy pisaniu, może to być prolog albo część główna, a dziennik Curie dodatkiem... zostawiam temat otwarty na wszelkie niespodzianki”.

Przeczytałam ten tekst. I zrobił na mnie wrażenie. Więcej nawet: porwał mnie.

Jednak to nie jest też książka o żałobie. Albo nie tylko.

Kupiłam pół tuzina biografii Madame Curie, o której już wcześniej co nieco wiedziałam, ale nie za wiele. I zaczęło w mojej głowie rosnać coś bezkształtnego. Pragnienie opowiedzenia jej historii moimi słowami. Pragnienie, żeby użyć jej życia jako idealnej miary, potrzebnej do zrozumienia mojego; i nie mówię o teoriach feministycznych, ale o próbie rozwikłania, jakie jest #MiejsceKobiety w społeczeństwie, w którym tradycyjne miejsca zostały zamazane